

Takich mamy księży, jakich sobie wymodlimy !

Monika Białkowska

Znajomy ksiądz był ostatnio świadkiem takiej oto sytuacji opowiada pani Agnieszka. Otóż będąc gościem w pewnej wielkomiejskiej parafii, koncelebrował Mszę św., którą miejscowy ksiądz postanowił połączyć z wieczorem poezji. Aktor odczytywał po kilka wierszy w trzech różnych miejscach liturgii. Po Eucharystii do zakrystii przyszło z pretensjami starsze małżeństwo. Kto księdzu dał prawo, żeby to robić? To nie są księdza kompetencje!.

– Myślę, że ci ludzie też bardzo modlili się za księży. Gdyby tak nie było, nie mieliby odwagi przyjść i nie czuliby, że przyjść powinni – wyjaśnia mi moja rozmówczyni, osoba wyjątkowa w swej prostocie i w pobożności. Zna kapłanów jak mało kto. Modli się za nich całe życie.

Po babci

Panią Agnieszkę nie było łatwo namówić na rozmowę. Broniła się przed tym, twierdząc, że nie robi nic wielkiego. Ona przecież tylko się modli, ale modlitwa to sprawa intymna, nie na pokaz w gazetach. Kiedy tłumaczyłam, że chodzi mi o świadectwo, odsyłała mnie do specjalistów. Przekonywała, że są mądrzejsi, że przecież i tak wytkną mi, że rozmówców dobieram wśród ludzi niekompetentnych. Ale przecież właśnie o to mi chodziło: o spotkanie z praktykiem, a nie z teologiem, który naczytał się



mądrych książek. Nie z kimś, kto o księżach mówi w mediach, ale z kimś, kto obok nich żyje i za nich się modli. W końcu umawiamy się na spotkanie, a pani Agnieszka zgadza się opowiedzieć o modlitwie, bez której wszystko traci moc.

Kiedy wchodzę do jej mieszkania, pierwsze rzucają się w oczy ikony. Wiszą w korytarzu, wiszą w pokoju, nadając całemu mieszkaniu niepowtarzalny klimat. Są znakiem, że tutaj żyje się w dwóch wymiarach. Pani Agnieszka tłumaczy, że mieszkanie i cały jego wystrój są odziedziczone po babci. – Babcia była pobożną kobietą. To ona uczyła mnie odmawiać „Ojcze nasz” i „Pod Twoją obronę”. To mieszkanie zawsze było pełne ludzi, którzy tu przychodzili porozmawiać, wypić kawę, zjeść kawałek ciasta. Księża? Oczywiście, że byli wśród nich i księża. Ale to nie było tak, że tylko przychodzą i gadają. Oni wiedzieli, że u babci dostaną nie tylko kawę, ale też modlitwę i uwagę. Czasem się dziwię, że babcia miała tyle odwagi, że potrafiła rozmawiać z księżmi o Kościele jeszcze przed soborem... A ja chyba razem z mieszkaniem odziedziczyłam po babci sposób myślenia. I modlitwę.

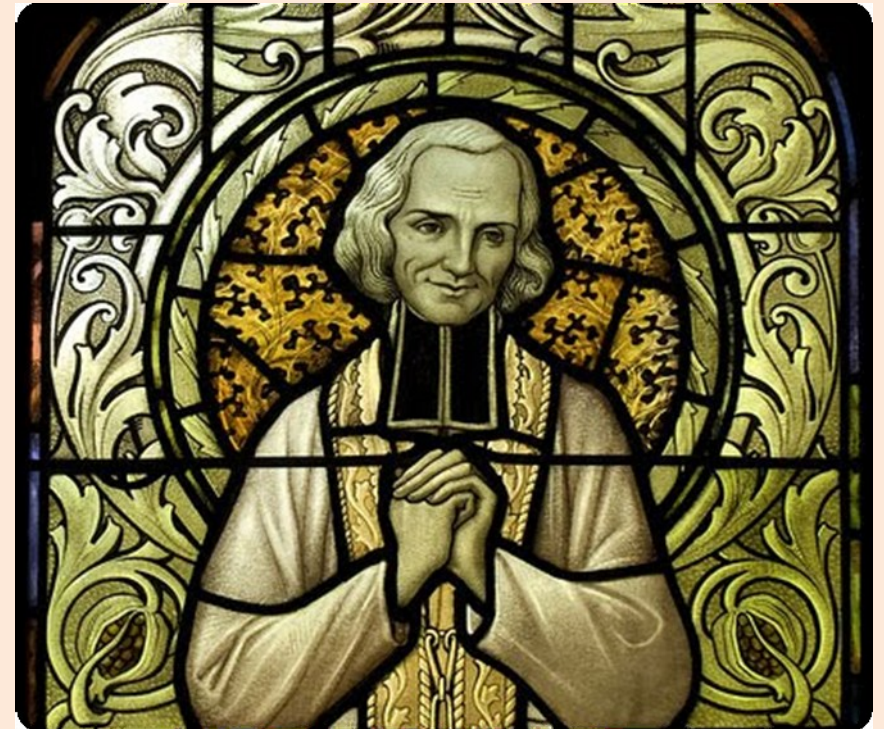


Pomarańczowy zeszyt

– Wszystko zaczęło jeszcze w czasach licealnych – wspomina pani Agnieszka. – Jak wszystkie nastolatki pisałam wtedy pamiętnik. Dostałam od kogoś gruby zeszyt, w którym zapisywałam, co wydarzyło się

moim życiu i jak te wydarzenia rozumiałam, jak sobie układałam relację z Panem Bogiem. Żyłam wtedy w środowisku młodzieży, bardzo zaangażowanej w życie Kościoła. Wielu znajomych chłopaków szło wtedy do seminarium albo do różnych zakonów. Na ostatniej stronie zaczęłam ich sobie zapisywać: żeby się nie pogubić, żeby pilnować modlitwy za

każdego z nich z osobna. I rzeczywiście się za nich modliłam. Codziennie odmawiałam Różaniec, za wszystkich albo za tych, o których wiedziałam, że szczególnie w tym czasie potrzebują pomocy. Czułam wtedy, że to ma wielkie znaczenie. Jakbym



w

fizycznie ich podtrzymywała w tym, żeby – jeśli rzeczywiście mają być księżmi – byli księżmi świętymi. Pani Agnieszka sięga na półkę z książkami, wydobywając z nich stary, pomarańczowy zeszyt. Otwiera go na ostatniej stronie. Rzeczywiście jest tam długa lista zapisana nazwiskami, czasem samymi imionami, z nazwą miejscowości albo pseudonimem. Franciszkanie, pallotyni, dominikanie, salezjanie, seminarium – ciąg imion i nazw jest długi, a pani Agnieszka wodzi po nim palcem. – Ten został księdzem, i ten, i ten... Ten nawet roku w zgromadzeniu nie wytrzymał... A ten odszedł później, po latach, zupełnie bez sensu... A ten to nawet dziś już nie pamiętam, kto to był. Ale musiałam i za niego się modlić, skoro jest tu

zapisany. Potem tych z zeszytu zastąpili inni. I tak mi zostało. To teraz naturalny fundament każdej znajomości, nie umiałabym z nimi rozmawiać ani słuchać ich, ani przychodzić do konfesjonału, jeśli bym się za nich nie modliła.

Kijem i marchewką do Boga?

– Uderzyły mnie kiedyś bardzo słowa, że takich mamy księży, jakich sobie wymodlimy – mówi pani Agnieszka, zamykając swój stary zeszyt. – Wiem, że można to wykorzystać, żeby usprawiedliwiać zło, którego księża, tak samo jak inni ludzie, czasem się dopuszczają. Ale tu nie chodzi wcale o to, żeby ich usprawiedliwiać. Chodzi o to, żeby dać im jakieś zaplecze na drodze, która naprawdę jest trudna. Jeśli nie modlimy się za księży, jak możemy się dziwić, że nie dają rady? Dopiero kiedy najpierw im pomagamy, potem możemy od nich wymagać.

– Wymagać? – pytam zdziwiona.

– Wymagać – odpowiada mi pani Agnieszka i opowiada historię o księdzu od wieczorku poetyckiego, któremu świeccy zwrócili uwagę. Takich historii pani Agnieszka zna zresztą więcej. – Każdemu księdzu zdarzyć się może, że się pogubi. Nikt przecież



razem ze święceniami kapłańskimi nie otrzymuje charyzmatu nieomyślności. Jasne, że to na księdzu spoczywa odpowiedzialność za parafię, że on odpowiada przed biskupem za to, jak wygląda praca duszpasterska. Ale odpowiedzialność nie oznacza, że ksiądz przestaje być wolny od błędów. To wymaga dużej odwagi i pokory uwierzyć, że ludzie, którzy żyją w tej parafii od pokoleń, nie są ani głupi, ani źli, i wcale nie marzą o własnym potępieniu, a skoro wciąż przychodzą do kościoła, to znaczy, że naprawdę w Pana Boga wierzą. Ten, kto traktuje ludzi jak durne, nieświadome owieczki, które trzeba kijem i marchewką popędzać do Boga, nigdy nie będzie prawdziwym duszpasterzem.

Jezus i tak zmartwychwstał

– Złych i słabych księży wcale nie jest tak wielu – zapewnia się pani Agnieszka. – A tam, gdzie zdarzają się gorsi, nie mamy co dramatyzować. Osobiście najpierw zawsze dowiaduję się, czy to, co mnie irytuje, jest rzeczywiście błędem i nadużyciem, czy tylko moją prywatną irytacją. W końcu jesteśmy ludźmi i nie musimy myśleć tak samo. Ale jeśli rzeczywiście ksiądz robi coś, czego robić nie powinien, najpierw zaczynam za niego modlić. Czasem rozmawiam, jeśli sprawa jest z gatunku tych, o których mogę rozmawiać. Za bardzo mi zależy na tym, żeby Kościół miał świętych księży, żeby machnąć na nich ręką. Ale mam też świadomość, że najważniejsza w Kościele jest prawda, że Jezus zmartwychwstał – a nie to, ile grzechów popełni ksiądz proboszcz. Czasem jest mi zwyczajnie żal znajomych księży. Mogę za nich świadczyć własną głową. Żyją przyzwoicie, nie mają kobiet na boku i nie molestują dzieci, nie upijają się wieczorami i nie jeżdżą po pijaku, na ambonach nie mówią o polityce, nawet samochodami jakimiś ekstra nie jeżdżą i tak jak ja martwią się, jak spłacić kredyt. Może mam jakieś niesamowite szczęście, że takich spotykam. Ale przykro mi na samą myśl, że kiedy ci przyzwoici faceci wyjdą na ulicę w sutannie, ktoś może patrzeć na



się

nich przez pryzmat tego, co mówi się w mediach. Że ktoś może któregoś z nich posądzić o pedofilię tylko dlatego, że noszą koloratkę i przyjęli sakrament święceń. Nie zgadzam się na to. Tak mówić nie wolno.

Większy niż grzech

– To chyba tylko dzięki modlitwie mogę tak myśleć o Kościele – tłumaczy pani Agnieszka. – Że Kościół jest większy niż grzech księdza. Że sakrament kapłaństwa jest silniejszy niż grzech. Może kiedyś dojrzejemy do takiego właśnie myślenia: że potrzebujemy wprowadzić księży jako nauczycieli i budowniczych, i jako katechetów, i jako administratorów parafii, ale tak naprawdę są w Kościele niezbędni do jednej tylko rzeczy, najważniejszej: do sprawowania sakramentów. W tym nikt ich nigdy nie będzie mógł wyręczyć. Nikt ich nie zastąpi. I choćby w życiu prywatnym byli daleko od doskonałości, choćbyśmy chcieli wstać z ławki i podyskutować z tym, co mówią z ambony – to i tak sakramenty z ich rąk będą działaniem samego Boga. Z



osobistej świętości oni sami się przed Bogiem rozliczą, nie nasza to kompetencja. My możemy się tylko modlić, żeby byli święci. To taki nasz mały wkład w ich kapłaństwo.